

Rok 1984



# Rok 1984

# George Orwell

tłum. Julia Fiedorczuk

typo

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury  
Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury  
([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)). Sfinansowano dzięki zrzutce  
społecznościowej czytelniczek i czytelników Wolnych Lektur.

Opracowanie redakcyjne i przypisy:  
Paulina Choromańska, Anna Krzywania,  
Aleksandra Sekuła, Elżbieta Sekuła.

Projekt layoutu i skład:  
Barbara Krasieńska • [www.krasinska.com](http://www.krasinska.com)

ISBN-978-83-288-7049-9

*miłośnikom literatury*



---

## Od tłumaczki

Różne bywają powody, dla których dokonuje się ponownego przekładu dzieła literackiego już obecnego w danym języku. Najczęściej tłumacz lub tłumaczka czują, iż istniejący przekład jest niedobry albo przestarzały i jako taki wymaga korekty. Czasem jednak chodzi o pokusę samodzielnego zmierzenia się z jakimś ważnym tekstem i przedstawienia własnej - niekoniecznie doskonalszej - interpretacji. Podjęłam się tłumaczenia Roku 1984 z tego drugiego powodu, znajdując dodatkową motywację w fakcie, iż wykonuję tę pracę dla „Wolnych Lektur”, których działania na rzecz popularyzacji i zwiększania dostępności literatury są mi bardzo bliskie. Moje punkty odniesienia to dwa klasyczne spolszczenia powieści Orwella: wersja Juliusza Mieroszewskiego z 1979 roku i o blisko dekadę późniejszy przekład Tomasza Mirkowicza, którym zaczytywałam się jako licealistka. Nie było moją ambicją poprawianie wybitnej pracy translatorskiej Mirkowicza, ani odróżnianie się na siłę tam, gdzie jego (lub wcześniejsze) rozwiązania zdążyły przeniknąć do potocznej polszczyzny. Określenia takie jak „Wielki Brat”, „nowomowa” czy „dwójmyślenie” należą dziś do popkultury i nie widziałam żadnego powodu, żeby wprowadzać nowe. Czytelnicy i czytelniczki z łatwością zauważą miejsca, gdzie pojawiają się pewne innowacje, mam nadzieję, że zostaną zaakceptowane, podobnie jak nieco nowocześniejszy i surowszy język całości.

Julia Fiedorczyk





## Część I



## 1

Był jasny, zimny kwietniowy dzień, zegary wybijały trzynastą. Winston Smith, przyciskając brodę do piersi dla osłony przed zacinającym wiatrem, wślizgnął się najszybciej, jak potrafił, przez szklane drzwi Rezydencji Zwycięstwa; wirujący w podmuchach wiatru ziarnisty pył mimo wszystko dostał się do środka.

W holu cuchnęło gotowaną kapustą i starymi, szmacianymi wycieraczkami. Na jego końcu wisiał kolorowy plakat, zbyt duży do eksponowania w pomieszczeniu. Przedstawiał tylko ogromną twarz, szeroką na więcej niż metr: twarz mężczyzny w wieku około czterdziestu pięciu lat, z bujnymi, czarnymi wąsami, o ostrych, interesujących rysach. Winston skierował się w stronę schodów. Nie było sensu sprawdzać, czy winda działa. I w najlepszych czasach rzadko była sprawna, obecnie zaś w ciągu dnia przerywano dostawę prądu - to jedna z form oszczędności, związanych z przygotowaniem do Tygodnia Nienawiści. Mieszkanie znajdowało się na siódmym piętrze. Winston miał już trzydzieści dziewięć lat, w dodatku dokuczało mu owrzodzenie żylne nad prawą kostką, toteż wspinał się powoli i co jakiś czas przystawał, żeby odpocząć. Na każdym piętrze naprzeciwko szybu windy spoglądała z plakatu ogromna twarz. Wizerunek był tak sprytnie pomyślany, że oczy zdawały się śledzić każdy ruch przechodzącej osoby. Napis u dołu głosił: „WIELKI BRAT WIDZI”.

W mieszkaniu dźwięczny głos odczytywał ciągi liczb, które miały jakiś związek z produkcją surówki. Głos ów wydobywał się z podłużnego, metalowego panelu, przypominającego mętne lustro, wmontowanego w ścianę po prawej. Winston przekręcił gałkę i głos ucichł nieco, lecz nadal można było rozróżnić słowa. Urządzenie (mówiono na nie „teleekran”) dawało się ściszyć, ale nie wyłączyć. Winston podszedł do okna. Był niewysoki i szczupły; niebieski kombinizon, uniform członków Partii, dodatkowo podkreślał mizerność jego ciała. Mężczyzna miał bardzo jasne włosy, a twarz naturalnie rumianą - o skórze zgrubiałej od szarego mydła, tępych żyłek i zimy, która właśnie dobiegła końca.

Świat na zewnątrz sprawiał wrażenie zimnego nawet przez szybę zamkniętego okna. W dole, na ulicy, wiatr porywał do spiralnego tańca kurz i strzępy gazet. I chociaż świeciło słońce, a niebo było intensywnie niebieskie, rzeczywistość wydawała się bezbarwna - poza porozlepianymi wszędzie plakatami. Twarz o czarnych wąsach spoglądała z każdego bardziej wyeksponowanego miejsca. Jedna wisiała na froncie budynku dokładnie naprzeciwko okna. „WIELKI BRAT WIDZI”, głosił napis, podczas gdy ciemne oczy zaglądały głęboko w oczy Winstona. Niżej, na poziomie ulicy, kolejna; ten plakat miał naderwany róg, papier gwałtownie trzepotał na wietrze, to odsłaniając, to zasłaniając pojedyncze słowo: ANGSOC. Hen, w oddali helikopter zapikował między dachy budynków, zawisnął na moment jak trzmiel, po czym uniósł się zakrzywionym lotem. Był to zaglądający ludziom do okien patrol policyjny. Ale te patrole nie miały wielkiego znaczenia. Liczyła się tylko myśl policja.

Za plecami Winstona głos z teleekranu nadal plótl coś o surówce i o tym, że wykonano, z nawiązką, dziewiąty Plan Trzyletni. Teleekran jednocześnie transmitował i odbierał dane. Rejestrował każdy wydany przez Winstona dźwięk, głośniejszy od najcichszego szeptu; co więcej, dopóki Winston przebywał

w polu widzenia panelu, mógł być także obserwowany. Nikt oczywiście nie miał pewności, czy w danym momencie podlega obserwacji. Można było jedynie zgadywać, jak często i według jakiej logiki myślopoliceja uruchamiała konkretny kanał przesyłu. Nie dało się wykluczyć, że obserwowali wszystkich przez cały czas. W każdym razie mogli podłączyć się do dowolnego kanału, kiedy tylko chcieli. Trzeba było żyć - i ludzie tak żyli, z przyzwyczajenia, które przeradzało się w instynkt - zakładając, że każdy dźwięk jest podsłuchiwany, a każdy ruch podglądany, z wyjątkiem chwil, gdy w pomieszczeniu jest ciemno.

Winston stał tyłem do teleekranu. Tak było bezpiecznie; chociaż, jak dobrze wiedział, z ludzkich pleców też można dużo wyczytać. Kilometr dalej nad brudnym pejzażem górował ogromny, biały gmach Ministerstwa Prawdy - jego miejsca pracy. I to jest Londyn - pomyślał z mglistym obrzydzeniem - główne miasto Pierwszego Pasa Powietrznego, trzeciej najgęściej zaludnionej prowincji Oceanii. Usiłował wydobyć z pamięci jakieś wspomnienie z dzieciństwa, które pozwoliłoby ustalić, czy Londyn zawsze tak wyglądał. Rzędy rozsypujących się dziewiętnastowiecznych czynszówek, podpartych po bokach belkami, z oknami pozatykanymi tekturą i dachami połatanymi blachą falistą - czy zawsze tu były? Albo te kuriozalne, walące się ogrodowe murki? Albo leje po bombach, z tańczącymi na wietrze okruchami tynku, sterty gruzu, poprzerastane pędami wierzbownicy<sup>1</sup>, czy tereny doszczętnie zrównane z ziemią przez bomby, gdzie natychmiast wyrastały kolonie obskurnych, drewnianych chałup, przypominających kurniki? Nic to jednak nie dało, Winston nie pamiętał; z dzieciństwa pozostała mu tylko se-

---

<sup>1</sup> *wierzbownica* - drobnokwiatowa roślina wieloletnia z rodziny wiesiołkowatych... [przypis edytorski].

ria prześwietlonych obrazów, bez żadnego tła i przeważnie niezrozumiałych.

Ministerstwo Prawdy - w nowomowie<sup>2</sup> „Minipra” - zdecydowanie wyróżniało się na tle innych widocznych budynków. Ogromne gmaszysko w kształcie piramidy, pobudowane z lśniącego, białego betonu, wznosiło się tarasowo na wysokości trzystu metrów. Ze swojego okna Winston widział wyraźnie, wypisane eleganckimi literami na białej fasadzie, trzy slogany Partii:

WOJNA TO POKÓJ  
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA  
IGNORANCJA TO SIŁA

Mówiono, że nadziemna część Ministerstwa Prawdy składa się z trzech tysięcy pomieszczeń; ponoć tyle samo ma ich część podziemna. W różnych miejscach Londynu znajdowały się jeszcze trzy inne budynki o podobnym wyglądzie i rozmiarach. Do tego stopnia górowały nad otaczającą je architekturą, że z dachu Rezydencji Zwycięstwa widziało się wszystkie cztery jednocześnie. Mieściły cztery ministerstwa, wchodzące w skład aparatu rządowego: Ministerstwo Prawdy, odpowiedzialne za wiadomości, rozrywkę, edukację i sztukę; Ministerstwo Pokoju, zajmujące się wojną; Ministerstwo Miłości, pilnujące prawa i porządku; oraz Ministerstwo Dobrobytu, skoncentrowane na ekonomii. Ich nazwy w nowomowie brzmiały: „Minipra”, „Minipo”, „Minimiło”, „Minidobro”.

Najbardziej przerażało Ministerstwo Miłości. Gmach ten w ogóle nie miał okien. Winston nigdy nie był w środku ani nawet nie zbliżył się do Ministerstwa Miłości bliżej niż na pół kilometra. Na teren ministerstwa wpuszczano tyl-

---

<sup>2</sup> *nowomowa* – oficjalny język Oceanii. Opis struktury i etymologii tego języka znajduje się w Aneksie. [przypis autorski].

ko w sprawach oficjalnych, a i wtedy trzeba było przedzierać się przez labirynt zasieków z drutu kolczastego, stalowych drzwi i ukrytych stanowisk karabinów maszynowych. Dodatkowo okoliczne ulice patrolowali strażnicy o twarzach goryli, ubrani w czarne uniformy i uzbrojeni w pałki teleskopowe. Winston obrócił się gwałtownie. Wcześniej postarał się nadać swojej twarzy wyraz łagodnego optymizmu, zalecany, kiedy stało się przodem do teleekranu. Przemierzył pokój i wszedł do małej kuchni. Żeby wrócić do domu w porze obiadu, musiał poświęcić posiłek w stołówce, tymczasem w lodówce miał tylko kawałek ciemnego chleba, który należało zachować na śniadanie. Zdjął z półki butelkę bezbarwnej cieczy z prostą, białą etykietą, na której widniała nazwa: „\*Gin Zwycięstwa\*”. Z butelki wydobywał się mdlący, oleisty zapach; przypominał chiński alkohol ryżowy. Winston nalał sobie prawie pełną filiżankę, przygotował się na szok i przełknął płyn na raz, jak dawkę lekarstwa.

Twarz mu spurpurowiała, z oczu popłynęły łzy. To coś smakowało jak kwas azotowy<sup>3</sup>, w dodatku po każdym hańście człowiek miał wrażenie, że obrywa pałką w tył głowy. Ale w następnej chwili palenie w żołądku osłabło, a świat wydał się Winstonowi trochę weselszy. Wydobył papierosa z pomiętego pudełka z napisem „\*Papierosy Zwycięstwa\*” i nieopatrznie uniósł go pionowo, w wyniku czego tytoń wysypał się na podłogę. Z następnym poszło mu lepiej. Wrócił do pokoju i usiadł przy małym stole, znajdującym się po lewej stronie teleekranu. Z szuflady biurka wydobył obsadkę, buteleczkę atramentu i gruby, czysty zeszyt formatu A4, z czerwonym grzbietem i marmurkową okładką.

Z jakiegoś powodu umiejscowienie teleekranu w pokoju było nietypowe. Gdyby zamontowano go, jak to zwykle

---

<sup>3</sup> kwas azotowy – nieorganiczny związek chemiczny, jeden z najsilniejszych kwasów tlenowych. [przypis edytorski].

robiono, w ścianie w głębi pomieszczenia, miałby widok na całe wnętrze. Tymczasem teleekran tkwił na dłuższej ścianie, naprzeciwko okna. Z jednej strony znajdowała się płytką wnąka i właśnie tam Winston teraz siedział; kiedy projektowano te mieszkania, zapewne w tym miejscu przewidziano regał na książki. Wciskając się do wnąki, Winston był w stanie usunąć się z pola widzenia teleekranu. Mogli go oczywiście podsłuchać; o ile jednak tkwił w obecnej pozycji, nie było go widać. Częściowo właśnie przez ten nietypowy rozkład pokoju wpadł na pomysł, który miał teraz zrealizować.

Częściowo zaś stało się to przez wyjątkowo piękny zeszyt. Przed chwilą wyjął go z szuflady. Takiego gładkiego, kremowego papieru nie produkowano od co najmniej czterdziestu lat. Winston domyślał się jednak, że zeszyt pochodził z jeszcze dawniejszych czasów - poźółkł już nieco ze starości. Zauważył go w oknie obskurnego sklepiku ze starzyzną w jednej z biedniejszych części miasta (nie mógł sobie teraz przypomnieć, w której dzielnicy) i natychmiast poczuł obezwładniające pragnienie, żeby go mieć. Członkom Partii w zasadzie nie wolno było wchodzić do zwykłych sklepów (czyli „handlować na wolnym rynku”), ale nie przestrzegano tej reguły bezwzględnie, bo niektórych rzeczy, jak choćby sznurówek czy żyłek, nie dało się dostać w żaden inny sposób. Rozejrzał się szybko po ulicy, następnie wślizgnął się do sklepiku i kupił notes za dwa dolary i pięćdziesiąt centów, bez żadnego konkretnego zamiaru. Niosąc go do domu w teczce z dokumentami, odczuwał wyrzuty sumienia. Samo posiadanie takiego notesu, nawet zupełnie czystego, mogło być kompromitujące.

Teraz zdecydował, że zacznie prowadzić dziennik. Nie było to zakazane (nic nie było zakazane, wszelkie prawa dawno już zniesiono), nie miał jednak wątpliwości, że w razie przyłapania dostanie karę śmierci (albo co najmniej dwadzieścia pięć lat kolonii karnej). Winston umocował



stalówkę w oprawce i posłał przez chwilę, żeby ją oczyścić. Pióro było archaicznym przyborem, rzadko używanym nawet do składania podpisów; zdobył je sekretnie po prostu dlatego, że czuł, iż piękny, kremowy papier zasługuje na coś lepszego, niż żeby skrobać po nim kopiowym ołówkiem. Prawdę powiedziawszy, Winston nie miał wprawy w ręcznym pisaniu. Wszelkie teksty, poza najkrótszymi notatkami, dyktował do głosopisu; oczywiście teraz to nie wchodziło w grę. Zanurzył stalówkę w atramencie i zawahał się przez chwilę. Zadrzał. Zostawiając ślad na papierze, podejmował nieodwracalną decyzję. Małymi, niezgrabnymi literami napisał:

\*4 KWIETNIA, 1984\*.

Opadł na oparcie krzesła. Ogarnęło go poczucie całkowitej niemocy. Po pierwsze, nie był pewien, czy rzeczywiście jest rok 1984. Musiał być mniej więcej ten rok, bo był raczej pewien, że ma 39 lat, a wiedział, iż urodził się w 1944 lub 1945; jednak w tych czasach datę dawało się ustalić tylko w przybliżeniu do roku czy dwóch.

Nagle ogarnęła go wątpliwość: dla kogo pisze ten dziennik? Dla przyszłości, dla tych, którzy się jeszcze nie urodzili. Jego umysł krążył przez chwilę wokół niepewnej daty, aż wyłoniło się używane często w nowomowie słowo: \*dwójmyślenie\*. Dopiero teraz do Winstona dotarła waga tego, co przedsięwziął. Jak można porozumieć się z przyszłością? Było to z natury rzeczy niemożliwe. Jeśli przyszłość będzie przypominała terażniejszość, nikt go nie usłyszy, jeśli zaś będzie inna, jego położenie nie będzie miało dla niej żadnego znaczenia.

Siedział przez jakiś czas, tępo wpatrując się w papier. Teleekran przełączył się na ostrą, militarną muzykę. O dziwo, Winston czuł, że stracił umiejętność formułowania myśli, a wręcz zapomniał, co zamierzał wyrazić. Od tygodni szykował się na tę chwilę, ale nie przyszło mu do głowy, że będzie

wymagała czegoś jeszcze prócz odwagi. Zakładał, że pisanie samo w sobie okaże się łatwe, wystarczy po prostu przelać na papier niekończący się, nerwowy potok słów, rozbrzmiewających w jego głowie od lat. Jednakże teraz wszystko ucichło. W dodatku wrzód na kostce zaczął niemiłosiernie swędzieć. Winston bał się go podrapać, ponieważ za każdym razem kończyło się to infekcją. Mijały sekundy. Nie był świadom niczego poza bielą kartki przed oczami, swędzeniem skóry nad kostką, hałaśliwą muzyką i lekkim rauszem po ginie.

Nagle, owładnięty panicznym strachem, zaczął pisać, tylko niezupełnie zdając sobie sprawę z tego, co wychodzi spod jego pióra. Drobne, dziecinne pismo wypełniało kartkę nierównymi, falującymi liniami, pomijając najpierw wielkie litery, a potem także kropki:

\*4 KWIETNIA, 1984\*.

Wczorajszy wieczór w kinie. Same filmy wojenne. Jeden świetny, o bombardowanym gdzieś na morzu śródziemnym<sup>4</sup> statku pełnym uchodźców. Publiczność bardzo ubawiona widokiem ogromnego mężczyzny próbującego uciec wpływ przed helikopterem. Najpierw widzimy go chlapiącego się w wodzie jakby był żółwiem, następnie przez celownik helikoptera, wreszcie podziurawionego, podczas gdy morze wokół niego robi się czerwone on tonie tak szybko, jakby przez dziury w ciele wlewała się woda. Kiedy tonie publiczność ryczy ze śmiechu. Potem widać łódź ratunkową pełną dzieci a nad nią helikopter. Kobieta w średnim wieku może żydówka siedzi na dziobie łodzi z mniej więcej trzyletnim chłopcem w ramionach. Chłopiec krzyczy ze strachu i chowa głowę między jej piersiami jakby miał się w niej zagrzebać a kobieta otacza go ramionami i pociesza chociaż sama jest blada z przerażenia. Cały czas okrywa go tak szczelnie jak tylko się da jakby miała nadzieję że jej ramiona mogą go ochronić przed kulami. Wtedy helikopter spuszcza na nich bombę dwudziestokilową straszliwy blask i z ło-

---

<sup>4</sup> *Morze Śródziemne* – morze międzykontynentalne leżące pomiędzy Europą, Afyką i Azją. [przypis edytorski].

dzi zostają tylko drzazgi. Potem wspaniałe ujęcie dziecięcego ramienia wzlatającego wyżej i wyżej i wyżej widocznie filmował to helikopter z kamerą z przodu i rozlega się gromki aplauz z partyjnych rzędów tymczasem jedna prolka robi hecę że nie powinni tego dawać nie przy dzieciach tak nie wolno nie wolno nie przy dzieciach aż policja ją aż ją policja wyrzuciła nie sądzę żeby coś jej zrobili kogo obchodzą prole to typowa prolska reakcja oni nigdy...

Winston przerwał pisanie, bo złapał go skurcz. Nie miał pojęcia, co skłoniło go do wylania z siebie tego potoku bzdur. Ciekawe jest jednak to, że kiedy pisał, zupełnie inne wspomnienie wyklarowało się w jego świadomości, tak wyraźnie, jakby zostało już gdzieś zanotowane. Zdał sobie teraz sprawę, że to właśnie owo zdarzenie wpłynęło na jego decyzję, żeby szybciej wrócić do domu i zabrać się do pisania.

Miało ono miejsce tego ranka w ministerstwie - jeśli o zdarzeniu tak mglistym można powiedzieć, iż miało miejsce.

Dochodziła jedenasta i w Departamencie Archiwów, gdzie Winston pracował, wyciągano krzesła z boksów, żeby ustawić je pośrodku sali, naprzeciwko dużego teleekranu, i przygotować do Dwóch Minut Nienawiści. Winston zajmował akurat miejsce w jednym ze środkowych rzędów, kiedy do pomieszczenia niespodziewanie weszły dwie osoby, znane mu z widzenia. Jedną z nich była dziewczyna, którą często mijał w korytarzu. Nie znał jej imienia, ale wiedział, że pracowała w Departamencie Fikcji. Widywał ją czasem z kluczem w dłoniach powalanych olejem, domyślał się więc, że zapewne była konserwatorką którejś z maszyn piszących powieści. Była mniej więcej dwudziestosiedmioletnią kobietą o zuchwałym wyglądzie. Miała gęste, ciemne włosy, piegowatą twarz i szybkie, wysportowane ruchy. Wąska, szkarłatna szarfa - symbol Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej - ciasno opasywała jej talię, uwypuklając kobiece kształt bioder, ukrytych pod kombinezonem. Winston czuł do niej antypatię od pierwszego wejrzenia. I wiedział

dlaczego. Irytowała go atmosfera boisk do hokeja, zimnych kąpiel, pieszych wycieczek i prawomyślności, którą dziewczyna roztaczała wokół siebie. Nie znosił większości kobiet, zwłaszcza młodych i ładnych. Przeważnie to one, szczególnie młode, były najbardziej zajadłymi orędowniczkami Partii. Lylały slogany, bezinteresownie szpiegowały i tropiły wszelkie odstępstwa od ortodoksji. Ale ta dziewczyna sprawiała wrażenie jeszcze bardziej niebezpiecznej niż inne. Raz, kiedy mijali się na korytarzu, zmierzyła go wzrokiem, który zdawał się przenikać do wnętrza, co na moment napełniło go mroczną trwogą. Przeszło mu nawet przez myśl, że ona może być agentką myślopolicii. Było to, co prawda, wysoce nieprawdopodobne. Niemniej jednak odczuwał w jej obecności dziwny dyskomfort, będący mieszaniną lęku i wrogości.

Drugą z tych osób był mężczyzna o nazwisku O'Brien, członek Wewnętrznej Partii, pełniący tak ważną i ukrytą funkcję, że Winston miał jedynie mglistą ideę co do jej natury. Na widok zbliżającego się czarnego kombinezonu członka Wewnętrznej Partii ludzie przy krzesłach na chwilę zamilkli. O'Brien był dużym, krępkim mężczyzną o byczym karku i szorstkiej, humorzastej, okrutnej twarzy. Pomimo groźnego wyglądu jego sposób bycia nie był pozbawiony uroku. Miał zwyczaj poprawiać okulary na nosie gestem tak zaskakującym kulturalnym, że aż rozbrajającym. Gdyby ktokolwiek myślał jeszcze w takich kategoriach, mógłby na widok tego gestu przypomnieć sobie osiemnastowiecznego szlachcica, częstującego znajomych tabaką<sup>5</sup>.

Winston widział O'Briena może tuzin razy w ciągu blisko tyluż lat. Ciągnęło go do tego człowieka nie tylko dlatego, że intrygował go kontrast między wyszukanymi manierami O'Briena a jego atletyczną fizycznością. Chodziło bardziej

---

<sup>5</sup> *tabaka* – sproszkowany tytoń, wciągany przez nos; (daw.) tytoń do fajki. [przypis edytorski].

o utrzymywaną w sekrecie wiarę – albo może nawet nie wiarę, a tylko nadzieję – że polityczna ortodoksja O'Briena nie jest doskonała. Coś w jego twarzy nieodparcie to sugerowało. Ale może tym, co się na niej malowało, nie było odstępstwo od ortodoksji, a jedynie inteligencja. W każdym razie wyglądała na osobę, z którą dałoby się porozmawiać, gdyby można było w jakiś sposób oszukać teleekran i znaleźć się z nim sam na sam. Winston nigdy nie spróbował zweryfikować tych domysłów, w istocie nie było sposobu, żeby to zrobić. O'Brien spojrzął na zegarek i widząc, że zbliża się jedenasta, najwyraźniej postanowił, że zostanie w Ministerstwie Prawdy na Dwie Minuty Nienawiści. Zajął miejsce w tym samym rzędzie co Winston, dwa krzesła dalej. Drobną kobietą o włosach w kolorze piasku, pracującą w boksie sąsiadującym z boksem Winstona, siedziała między nimi. Ciemnowłosa dziewczyna usiadła bezpośrednio za Winstonem.

W następnej chwili z teleekranu w końcu pomieszczenia wydobyło się okropne skrzypienie, jakby uruchomiła się jakaś monstrualna, nienaoliwiona maszyna. Zęby bolały od tego dźwięku i ciarki przebiegały po plecach. Zaczęła się Nienawiść.

Jak zwykle, na ekranie wyświetliła się twarz Emmanuela Goldsteina, Wroga Ludu. Wśród publiczności dało się słyszeć posykiwania. Drobną kobietą o włosach w kolorze piasku wydała z siebie dźwięk wyrażający mieszaninę strachu i wstrętu. Goldstein, renegat i odszczepieniec, dawno temu (jak dawno temu, tego nikt nie pamiętał) był jedną z najważniejszych figur Partii, niemal równą samemu Wielkiemu Bratu, ale potem zaangażował się w działania kontrrewolucyjne, za które skazano go na śmierć; jednak w jakiś tajemniczy sposób zdołał uciec i zniknąć. Przebieg Dwóch Minut Nienawiści każdego dnia był nieco inny, lecz Goldstein niezmiennie stanowił gwóźdź programu. Był pierwotnym zdrajcą, pierwszym, który zbecześcił czystość